

POWSTANIE LISTOPADOWE.

POWSTAŃ POLSKO, SKRUSZ KAJDANY



foto: Marcin Zaleski, "Wzięcie Arsenалу" ; domena publiczna

Powstanie listopadowe było przełomowym wydarzeniem w XIX-wiecznej historii Polski. Zakończył się „niewinny” flirt części elit z imperium rosyjskim. Na powstałych wówczas barykadach niemożliwością stało się siedzenie okrakiem.

Dla właściwego zrozumienia, w jaki sposób powstanie listopadowe wpłynęło na postawy polityczne Polaków, warto posłużyć się dwoma historycznymi – wymownie kontrastującymi ze sobą – obrazkami. Pierwszy z nich dotyczy wiosny 1829 r. Na mocy postanowień Kongresu Wiedeńskiego car rosyjski, z chwilą wstąpienia na tron w Petersburgu, automatycznie stawał się królem Polski. W 1825 r. jednym i drugim został młodszy brat Aleksandra i Konstantego Romanowów – Mikołaj.

Koronacja

Jednak zgodnie z artykułem 45. konstytucji Królestwa, nowy imperator powinien koronować się na króla Polski w Warszawie. Mikołaj zwlekał z tą formalnością, ponieważ czekał na decyzję Sądu Sejmowego w sprawie oskarżonych o zbrodnię stanu członków Towarzystwa Patriotycznego. I jakkolwiek wykładnia przyjęta przez szacowne grono senatorów (nieco wbrew nazwie to oni bowiem, nie zaś posłowie, stanowili kolegium sędziowskie) zdejmowała gros winy z oskarżonych, czym wywołała irytację Mikołaja, sprawa została przynajmniej formalnie załatwiona. Car mógł zjawić się w Warszawie.

Niezwykle plastycznie opisał postawę polskich elit względem przybyłego monarchy – to na nią warto w tej opowieści zwrócić bacniejszą uwagę – pamiętnikarz Tymoteusz Lipiński. „W tym to dniu [24 maja 1829 r.] Mikołaj I [...] koronował się na króla polskiego. Piękny był widok kilkunastu tysięcy ludzi różnego wieku, płci i stanu, skupionych na placu przedzamkowym, oraz 3000 dam razem zebranych na amfiteatrze od Podwala aż do ulicy Świętojańskiej, wzniesionym na kilka kondygnacji”. Wieczorem radosny nastrój sięgnął

zenitu: „Cesarz z Cesarzową przejeżdżali się otwartą karetą, a nieco później cesarz z W. Księciem Konstantym w koczku; lud okrzykami witał go radośnie. Natłok był niesłychany, na niektórych zaś ulicach przecisnąć się nie można było; dziwić się należy, że bez przypadków się obeszło, zwłaszcza gdy się pojazdy mijaly. U księżny Zajączkowej [wdowy po namiestniku Józefie Zajączku] był liczny wieczór tańczący”.

Detronizacja

Drugi z historycznych obrazków przedstawia wydarzenie, do jakiego doszło również w Warszawie 25 stycznia 1831 r., już w czasie powstania listopadowego. W połowie grudnia zaczął obradować polski sejm, niezwoływany od 1825 r., chociaż na mocy obowiązującego prawa miał on zbierać się co dwa lata. Owego kluczowego dla naszej opowieści 25 stycznia 1831 r. posłowie otrzymali z rana elektryzującą wiadomość. Mikołaj odpowiedział na postulaty przedstawione mu przez delegację reprezentującą powstańczego dyktatora – Józefa Chłopickiego. Cały dowcip polegał na tym, że formalnie rzecz biorąc, insurekcyjna władza nie miała stosownej legitymacji – ot, 5 grudnia 1830 r. były dowódca Legii Nadwiślańskiej ogłosił, że przestaje być osobą prywatną i zostaje dyktatorem. Groteskowość tego wystąpienia potęguje fakt, że kilka dni wcześniej tenże Chłopicki określił spisek podchorążych jako „zbrojną ruchawkę”. Jego autorytet jako dawnego wodza napoleońskiego, generała, który wzgardził rosyjskimi zaszczytami w Królestwie, był tak niepodważalny, a jednocześnie potrzeba naczelnego wodza tak silna, że zamiast aresztować uzurpatora, Rząd Tymczasowy pozwolił mu zachować tytuł.

Teoretycznie zatem wysłana do Petersburga delegacja, w skład której wchodził książę Drucki-Lubecki oraz Jan Jezierski, była inicjatywą może niezupełnie prywatną (Rząd Tymczasowy miał pewien wpływ na kształt postulatów), jednak nieposiadającą odpowiedniego dla wagi sprawy ciężaru gatunkowego. **Stało się tak, mimo że przedłożone przez nią żądania: respektowania konstytucji, zakazu stacjonowania wojsk rosyjskich w Warszawie, restytucji Ziemi Zabrzanych (Kresów) miały charakter wyraźnie polityczny.**

Mikołaj I był człowiekiem ograniczonym umysłowo, a przy tym jak ognia bojącym się wszelkich powstań. Niewiele brakowało, a od jednego z nich wyróciłby się jego tron, co wypłynęło nań podobnie jak Fronda na Ludwika XIV. Zrozumiał tyle, że w Warszawie wybuchł bunt, który trzeba jak najszybciej zdławić. Podobno wypowiedział wówczas kwestię: „Z miateżnikami razgawariwat’ nie budu”. Słowa dotrzymał: utrzymaną w ultymatywnym tonie odpowiedź, będącą w istocie żądaniem bezwarunkowej kapitulacji, przekazał delegatowi Jezierskiemu nie osobiście, lecz za pośrednictwem feldmarszałka Iwana Dybicza, mianowanego dowódcą sił mających położyć kres „oplakanemu nieregularnemu Królestwu Polskie”.

Kiedy tylko wynik misji Jezierskiego (Lubecki zdecydował się pozostać w Petersburgu) został ujawniony, w sejmie zawrzało. Umiarkowanie i kunktatorstwo przysły niczym bańka mydlana. Szacowne zgromadzenie zrozumiało, że w zaistniałej sytuacji nie ma już nadziei na pokojowe rozwiązanie problemu „polskiej rewolucji”. Zostały dwie możliwości: przyjąć warunki podyktowane przez Dybicza i narazić się na zarzut zdrady narodowej lub też odrzucić je, pchając Polskę do wojny z całą imperialną potęgą Rosji. Zwyciężyła potrzeba czynu. Od kilku dni dyskutowano w komisjach sejmowych wniosek posła powiatu koneckiego Romana Sołtyka, zakładający w punkcie pierwszym odsunięcie od tronu polskiego dynastii Holstein-Gottorp-Romanowów. Nie dowiemy się, jakie byłyby losy owego projektu, gdyby nie czynnik katalizujący w postaci oburzenia carską butą. Można jednak przypuszczać, że utknąłby on w jednej z komisji lub wręcz został odrzucony.

Historycy zwracają uwagę na dwa wydarzenia, które pomogły ów wniosek przyjąć. Jak to często w historii bywa, znalazło się w tym dramacie miejsce i dla kobiety: otóż w dobrze wybranym momencie, kiedy wzburzenie sali sprawozdaniem Jezierskiego sięgnęło zenitu, podsunęła ona bratu – marszałkowi sejmu – karteczkę następującej treści: „*Zaklinam Ciebie, skorzystaj z chwilowego uniesienia, wznieś detronizację, inaczej nie uznam cię za brata mojego*”. W ten oto sposób wniosek został poddany pod głosowanie. Trzeba było jeszcze przekonać nieprzekonanych... Tu los obsadził w historycznej roli Jana Ledóchowskiego, posła jędrzejowskiego, znanego ze stentorowego i nieznoszącego sprzeciwu głosu.

Ledóchowski wstał ze swojego miejsca i potężnym głosem zawołał: „To co jest w naszych sercach, niechaj wyjdzie przez usta nasze – wyrzeknijmy więc razem: n i e m a M i k o ł a j a”. Jak pisze Marian Brandys w III tomie „Końca świata szwoleżerów”: „Cała izba porwana mocą tego wyrażenia... powtórzyła po kilkakroć: nie ma Mikołaja! To byli Polacy. Mikołaj przestał być królem o godzinie kwadrans na czwartą po południu [15:15], dnia 25 stycznia 1831 roku”.

Część historyków, w tym wybitny znawca XIX w. prof. Tomasz Kizwalter, upatrują w owym „nie ma Mikołaja” momencie, w którym narodził się nowoczesny naród polski. Nowoczesny, bo po raz pierwszy nie z obcej inspiracji, ale z własnej woli odwołujący się przynajmniej w teorii do wszystkich warstw społeczeństwa. Naród, bo wyartykułowane zostały wówczas postulaty polityczne, których paradygmatem była niepodległość – a taki właśnie paradygmat decyduje, według zgodnej opinii badaczy historii, o istnieniu narodu.

Wojna z Rosją

Opowieść o powstaniu listopadowym byłaby niekompletna, a czytelnicy rozczarowani, gdybyśmy chociaż w kilku słowach nie odnieśli się do wydarzeń, które historiografia polska określa mianem wojny z Rosją: ta zaś każdemu, kto chociaż pobieżnie zetknął się z jej przebiegiem, powinna wydać się wojną straconych szans. Mamy oto zdolnych dowódców – przede wszystkim Ignacego Prądyńskiego – potrafiących pobić Moskali np. 10 kwietnia 1831 r. pod Iganiami, i jednocześnie kompletnie nieudolnych, by nie rzec w ich kontekście słów Marii Konopnickiej „a w sercu czai się zdrada”, kolejnych wodzów naczelnych. Przede wszystkim zaś Jana Skrzyneckiego, o którym Juliusz Słowacki napisał w „Kordianie”: „Wódz! Chodem raka przewini / Jak ślimak rogiem uderzy, / Sprobuje – i do skorupy / Schowa rogi, i do skrzyni / Miejskiej zniesie planów trupy, / Czekając, aż kur zapieje”.

Kilka bitew powstania styczniowego wryło nam się w pamięć: Olszynka Grochowska (Grochów), Wawer, Dębe Wielkie, Iganie, Ostrołęka, oblężenie Warszawy – to wszystko bitwy, które zdecydowały o początkowym sukcesie wojsk polskich, a następnie – o ich klęsce. Wśród tych wszystkich starć trzeba zwrócić uwagę na bitwę pod Olszynką Grochowską. Warto pochylić się nad nią z kilku względów, z których pierwszy – najmniej oczywisty – może służyć za swojego rodzaju pomost dziejowy między powstaniem listopadowym a wojną polsko-bolszewicką stoczoną 90 lat później. To właśnie tu, na przedpolach Warszawy, odparte zostały wojska nieprzyjaciela, co w wieku XIX przedłużyło żywot powstania o kilka miesięcy. W pamiętnym roku 1920 przedłużyło żywot nowo odbudowanej Polski o 20 lat!

Olszynka Grochowska. Chyba znowu musimy wrócić do relacji Mariana Brandysa, który jak nikt potem opisał tamto starcie z mocą, drżeniem i namysłem: „*Ocknął się w nim [Józefie Chłopickim] dawny lew z Legii Nadwiślańskiej. W jednej chwili zapomniał o »królu« Mikołaju, o zniewadze doznanej od posła Ledóchowskiego, o wszelkich*

innych względach politycznych. »Przemogła natura i krew rodowita: stał się żołnierzem i wodzem«”.

Rany odniesione przez Chłopickiego w bitwie grochowskiej nie pozwoliły mu dokończyć dzieła zemsty na Rosjanach, jednak fakt pozostaje faktem: to on dowodził w tej bitwie, to on, „upadły bożek opinii”, na nowo konstruował swoją legendę.

Chłopicki nie był wzorem męża stanu ani nawet naczelnego wodza. Po nim przyszły zwycięstwa pod Wawrem, Dębem Wielkim i Iganiami – w żadnym z nich nie bierze udziału, choć historia predestynowała go do największych osiągnięć. Chłopicki, jako jeden z nielicznych, próbował siedzieć okrakiem na barykadzie: być po trosze wodzem, po trosze kunktatorem. Chyba jemu jednemu udało się uniknąć pułapki jednoznacznej opinii: wszyscy inni zostali wciągnięci w wir wydarzeń, z którego tak komfortowo wyjść się nie dało; pytanie o zdradę lub wierność osiągnęło w tamtym czasie punkt krytyczny.

Powstanie listopadowe trwało w pamięci pozostających w Polsce niedobitków, trwało też w pamięci polistopadowych emigrantów – walka o niepodległość zaczynała się od nowa...

WYKORZYSTANO: NIEZALEŻNA.PL